

# Dla jasności w sprawie

Alek Rachwałd

Czytając niektóre opinie o sprzęcie, zastanawiam się, gdzie leży granica akceptacji recenzenta i co trzeba zrobić, by ją przekroczyć. W teorii (i praktyce) granica jest dość łatwa do zlokalizowania: wystarczy, że urządzenie daje bardzo zły dźwięk. Jednak, mówiąc szczerze, nie jest dziś łatwo, po stu z hakiem latach rozwoju elektroakustyki, zaproponować sprzęt grający okropnie.

**N**ie mówię o telefonach służących również do odtwarzania muzyki albo o mikrowieżach, projektowanych do grania w toalecie, a używanych przez niektórych do nagłośnienia salonu. Mówię o sprzęcie z założenia zbudowanym jako normalny grający. Z recenzentkiego doświadczenia mogę powiedzieć, że autentyczne knoty trafiają się rzadko. Co jednak w sytuacji, gdy oceniane urządzenie w zasadzie nie służy do wydawania dźwięku, ewentualnie jeśli gra dobrze, nawet bardzo dobrze, ale zostało wycenione jak pięć podobnie grających sprzętów łącznie?

Weźmy pierwszy przykład. Dostaję oto do testu ozdobny stolik do celów audio. Mebel jest ciężki, ma jakiś tam pozytywny wpływ na brzmienie postawionej na nim elektroniki, a poza tym jest szalenie wyszukany wzorniczo i kosztuje kupę forsy. Wpływ na brzmienie nie jest wartością, którą można by precyzyjnie zmierzyć; to w dużym stopniu pojęcie subiektywne. Co do mnie, nie jestem nietoperzem (co może zaskoczyć część czytelników) i działanie jednego stolika od działania stolika drugiego niewiele się dla mnie różni. Co innego różnica między stolikiem a jego brakiem, która może być na plus, może być na minus, a może jej nie być. Najprościej oceniać stoliki pod gramofony, bo jeśli się kolebią, to znaczy, że są do chrzanu. Ale jeśli mam w teście mebel, powiedzmy, za 2000 zł, ciężki, solidnie wykonany, i oceniam go dobrze, a potem dostaję równie ciężki mebel za pięć razy tyle, i też oceniam go dobrze (bo też nieźle robi

brzmieniu), to pytanie brzmi: ile są warte dodatkowe złocenia i dokładność obróbki elementów? Obiektywnie warte są, bo kosztują. Natomiast zabijcie mnie, ale na dźwięk to nie wpływa. Jeśli w kosztowny stoliczek wklejono na froncie podobiznę Mozarta, uczynioną sporym nakładem finansowym, to dla mnie osobiście stoliczek ów stracił na wartości. Koszty jego wykonania niewątpliwie wzrosły, zaś jego wartość jako podpórki wzmacniacza nie uległa zmianie. Czy recenzent w tej sytuacji ma pisać subiektywnie, że mebel spełnia swoją funkcję, ale jest paskudny i przedrożony? Przecież połowa klientów Mozartem się zachwyci.

Do tej kategorii należą też podstawki pod kable, które mogą być zrobione z wygładzonych drewnianych klocków, ale mogą też lśnić czerwienią ferrari, za odpowiednio większą sumę. Gadżet ten i tak ma dla mnie wartość tylko estetyczną, choć ludzie, którym ufam, twierdzą, że wpływa na dźwięk. Pewnie tak, bo mało co nie wpływa, ale mój system raczej nie jest wystarczająco czuły. Albo ucho. I co teraz: ferrari red niedobrze, a tańszy kłoczek z cedru może być? I to ładne, i to niebrzydkie, a różnica w cenie nie miała. Dla mnie to kwestia teoretyczna, bo nie biorę do testu urządzeń, do których działania nie jestem przekonany. Różne „tweaki” są jednak powszechnie kupowane, mimo że ich wpływ na brzmienie okazuje się niewielki. I teraz pytanie: ile powinien kosztować gadżet, który ma niewielki wpływ na dźwięk? A może pytanie typu „ile coś powinno kosztować” jest w ogóle źle po-

stawione, bo to nabywca decyduje, ile wydać?

Co do za wysokiej ceny: ostatnio parę razy spotkałem recenzje potwornie drogich domowych monitorów. Przez „potwornie drogie” rozumiem ceny rzędu 30 kEUR (wobec cen rzędu 10 kEUR używam określenia „cholernie”). Jeszcze kilka lat temu sprawa była jasna: w tej kategorii mieściły się tylko najlepsze Sonus Fabery, wykonane z absolutną maestrią stolarską i znane m.in. z tego, że egzemplarz znajduje się w muzeum skrzypiec w Cremonie. Monitory były przepiękne; uważano też, że grają bardzo dobrze. Kto chce, kupi i będzie miał satysfakcję, że ma w domu dzieło sztuki, o którym piszą w gazetach. Poza tym cena była i tak dwa razy niższa od przytoczonego tu przykładu. Jednak rynek idzie naprzód i widziałem już przynajmniej dwa monitory, jeden amerykańskiej firmy Magico, drugi z high-endowego oddziału Pioneera (TAD się to nazywa), które penetrowały śmiało ten pułap cenowy, mimo że nikt w muzeum by ich nie postawił. Owszem, były niebanalne, bowiem cechowało je (zgodnie z pomiarami recenzentów) niezwykle jak na ich wielkość rozciągnięcie pasma w dół. W istocie były to (dźwiękowo) kolumny podłogowe, bo pasmo sięgające niemal 30 Hz ze spadkiem 3 dB to wartość dla monitora trudno osiągalna. Czy zatem ma on prawo kosztować tyle, co przywoity samochód? Może, dopóki nikt nikogo nie zmusza do jego nabycia. Żyjemy w wolnym kraju i gdybym miał niewielki apartament w centrum Warszawy, dajmy na to w wieżowcu Liebeskinda, może chciałbym w nim umieścić niewielkie zestawy w cenie adekwatnej do kosztu kwatery.

Chcąc ostatecznie wyjaśnić pewne kwestie, umówiłem się niedawno na odsłuch monitorów RLS Nereida II. Są to średniej wielkości zestawy. Jak zwykle u tego producenta prosta, elegancka stolarka, bardzo dobre (choć nie superkosztowne) głośniki i dźwięk... Cóż, słuchając ich, przypomniałem sobie, co chciałem napisać. Otóż te średniej wielkości skrzynki z małej polskiej manufaktury są w mojej opinii jednymi z najlepszych głośników monitorowych dostępnych w Polsce. Kosztują 6600 zł.

Po co o nich wspominać? Gdy pisałem te słowa, przypomniał mi się ustęp z książki Agnieszki Osieckiej „Szpetni czterdziestoletni”. Otóż pewien jej znajomy miał zwyczaj wznosić kieliszek ze słowami: „No to dla jasności w sprawie”. No więc właśnie po to. ♦